Rok IV. Lwów, 15 sierpnia 1910. Nr. 4.

Członkowie Sekcyi Turystycznej T. T. otrzymują czasopismo bezpłatnie. .. ..

TATERNIK

Prenumerata wynosi: 3 K (3 M., 1 rub. 50 kop.) rocznie z przeszyłką. :: :: ::

Organ Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego

Wychodzi sześć razy do roku pod redakcyą komitetu.

Adres Redakcyi: Roman Kordys, Lwów, Lindego 8. Adres Administracyi: Mieczysław Lerski, Lwów, pl. Bernardyński 3.

Pojedyncze numery są do nabycia w cenie **50 hal.** we Lwowie w Księgarni Polskiej, ulica Akademicka, w księgarni Zienkowicza i Chęcińskiego, ulica Teatralna i w sklepie St. Płońskiego, Chorążczyzna 6; w Krakowie w biurze dzienników Hopcasa & Salamonowej i u J. F. Fischera, Rynek A-B; w Zakopanem w księgarni L. Zwolińskiego, Krupówki i w handlu A. Górasia, Krupówki.





TATERNIK

Organ Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego.

Rok IV. Lwów, 15 sierpnia 1910. Nr. 4.

Dr. ANTONI JAKUBSKI.

Wyjście na Kilimandjaro.

Nie w celu podzielenia się z Szanownymi Czytelnikami „Taternika“ osobistymi wrażeniami chwil przeżytych w głębokich tajemniczych pierwolesiach czy też halach i lodowcach, okrywających pysznego olbrzyma, Kilimandjaro, gdyż mam zamiar opisania całej mej podróży afrykańskiej gdzieindziej, biorę za pióro. Chcę tylko w krótkich słowach naszkicować okoliczności i warunki wyjścia na szczyt, o ile pozostają w związku z turystyką i taternictwem.

Potężny kolos Kilimandjaro, rozpostarty na przestrzeni przeszło 700 km.^{2}, wznosi się z dna rowu wulkanicznego z wys. około 700 m. n. p. m., do zawrotnych szczytów tryumfujących na 6010 m. Przyznam się, że przybywszy do stacyi wojskowej Moschi (1170 m.) straciłem prawie zupełnie nadzieję wyjścia na szczyt, tembardziej, że w grę wchodziły przeszkody, zdawałoby się niepokonalne. Zaopatrzony jedynie w ubranie tropikalne, bez czekana do rębania stopni w lodowcu, samotny wśród bandy czarnych drapichrustów.... takie były moje rozmyślania. A jednak są przypadki w życiu. Niespodziewanie dostaję za pośrednictwem pewnego misyonarza protestanckiego 2 przewodników, od młodego sułtana 10 tragarzy i odtąd następują po sobie wypadki, wysnuwające się jak nić z kłębka. „Chwilkę“ tylko zajęła umowa o cenę z murzynami, zakupno koców dla nich, jakoteż żywności w formie 36 funtów ryżu, mas cukru i herbaty, na-

wet żywą kozę popędziliśmy z sobą. Było to 11. marca. Wązką ścieżynką z początku obok rowu „wodociągowego", zaopatrującego w wodę stacyę wojskową, dążymy dziewiczym lasem w górę. Ścieżka początkowo wygodna — wyżej gubi się wśród innych; są to ścieżki słoni, potężne ślady, wielkości misy, znaczą dobrze ich przejścia i tylko powalone przez słonie kłody drzew tamują drogę obarczonym ciężarami tragarzom Co chwilę rozlegają się nawoływania murzynów „s z i m u" *), ale niekiedy zapóźno! Idąc tak od 6-tej rano i odpocząwszy w południe dla posilenia się, wychodzimy o 4-tej po południu z pierwoboru, na wysokości około 3000 m. Przewodnicy wyszukują pospiesznie miejsce na nocleg, kucharz robi kolacyę, a służący Mahmadi, ustawia z „inteligentniejszymi" tragarzami 2 namioty — wielki dla mnie — mały dla siebie i kucharza. Ja tymczasem zabieram się do pomiarów, poczynając od zbadania mego pulsu i temperatury ciała.

Słońce już zaszło, tylko tam w górze lodowce żarzeją w ostatnich jego promieniach. Naokół przy ogniskach czarne postacie siedzą w kuczki zziębnięte i głodne, chciwem okiem wpatrzone w gotujące się kotły z kozą i, ryżem. Nawet ich ochota od szwargotania odbiega. Zimno prawdziwe bo tylko $+2^0$ C budzi mnie z rozmyślań czy pogoda dopisze, czy sił i otuchy nie braknie — i każe się skryć do łóżka.

Nadchodzi poranek. Szron ziemię pokrywa, murzyni leżą pokotem, kilku w mym namiocie, inni zewnątrz pod jego skrzydłami — a ogień już dawno spopielał. Całkiem jak u nas w Tatrach, gdy w mych początkach z Wojtkiem Mateją czy Staszkiem Stopką nocowało się w mrozie bez ognia. Lub ty Dolino Jastrzębia!

Lecz trzeba rozporządzić wyprawą. Namioty, łóżko, stół, zostawiamy na miejscu na opatrzność ludzką a uwolnionych od ciężarów murzynów rozpuszczam za wodą i za zbieraniem chrustu. Nie masz tu naszej kosówki, trzeba się zadowalać wrzosem, który w tych okolicach wcale pokaźnych, drzewkowatych kształtów dorasta. Idę naprzód, za mną ciągnie się powolny wąż tragarzy, coraz więcej się wyciągający aż wreszcie za wykrętami i zachodami skalnymi się gubi. Nieopatrznie gnała mnie chęć wdarcia się na szczyt, zaraz miałem za to odpokutować. O 11 donosi mi Mahmadi, że kucharz i jeden z tragarzy zdezerterowali. Obiecuję sobie srogo ich ukarać, ale niema rady, wracać nie można — wszak to ostatnie dni pory suchej — a tu najważniejszych rzeczy brak: przyrządów do robienia pomiarów. Biedaczysko Mahmadi musiał całą pozostawioną przez zbiegłego tragarza kuchnię polową, nieść na swej głowie, a swoje rzeczy pozostawił na dole; przez to i ja źle wyszedłem, bo na noc musiałem, pominąwszy to że się do chłopaka mocno przywiązałem, wprost z obawy o jego życie, odstąpić mu jedną z 2 derek, jakie sam miałem.

Wciąż posuwamy się ledwo widzialną ścieżką antylop, która ma nas wyprowadzić na siodło łączące oba szczyty: K i b o właściwy i 500 m. od

okie.

niego niższy M a v e n z i. Kilka godzin snujemy się wśród zarośli, krzewów i traw, gdzieniegdzie otwiera się pole piargów, gdzieniegdzie przechodzimy przez ławy litego kamienia. Murzyni, bynajmniej nie przedstawiający przewodników tatrzańskich, żalą się na ból głowy i szum w uszach. Daję im więc „cudowne“ lekarstwo, antipirynę — ta robi swoje. Im dalej tem gorzej, czarni zaczynają głośno sarkać i tylko Mahmadi przyjacielskiem słowem potrafi ich w ryzach utrzymać.

Wchodzimy wreszcie na plateau, z popiołów wulkanicznych i z rzadka tylko porozrzucanych bloków utworzone. Czarni wloką się już ostatkami sił. Lecz oto już widoczny nasz cel na dziś: obszerna grota z lawy tuż u podnóża głównego stożka. W grocie zastajemy wielką ilość śniegu, próżnym więc okazał się trud transportowania całej skrzyni wody. Czarni bawią się nim jak dzieci, ale krótką chwilkę, bo z zachodem słońca robi się przeraźliwe zimno. Chociaż skulony w worku alpejskim i okryty derką wielbłądzią szczękam na tle ogólnego chóru zębami, wiatr świszczy, a w międzyczasie dolatują mnie ciche, zrezygnowane szepty murzynów „*tutakufawote*“ — pomrzemy wszyscy. Taką to noc musi się przepędzać nawet pod równikiem, na wysokości 4500 m.

Nie trzeba było się budzić, dobra to zaleta, gdy wcześnie wstać należy. O 5-tej ruszam z jednym przewodnikiem, Rsuo — niesie mi on aparat fotograficzny. Innych nie chciałem brać ze sobą, a nawet Mahmadi wyprosił sobie odpoczynek, jakkolwiek jeszcze w Moschi zapewniał mnie, że do końca życia w najgorszych nawet warunkach mnie nie opuści. Po półtorej godzinie każę wracać i Rsuowi z powrotem do groty i idę dalej sam. Jeszcze dnia poprzedniego rozglądając się po K i b o doszedłem do przekonania, że prawdopodobnie najłatwiejszą okaże się droga, prowadząca szerokim żlebem, śladem dawnego lodowca, a otwierająca się na szczycie w lodowej „P r z e ł ę c z y J a n a M e y e r a“. Czas obliczyłem na 5 godzin i nie wiele się omyliłem. Idąc zrazu wygodnym, szerokim, piarżystym żlebem skierowuję się wreszcie nieco na prawo, na stronę grzbietu, spadającego do „P r z e ł ę c z y J o h a n n e s a“. Robię to zaś z tego powodu, że stok drobnego, żwirowego piargu, staje się ku górze coraz bardziej stromym (około 40^0), przypominając drogę starego Zawratu, z tą różnicą, że jest znacznie dłuższy, bo wynosi około 3 km. Droga u spodu owego grzbietu przypomina Zawrat nowy, — wogóle prócz paru małych, kilkumetrowych stopni nie nastręcza technicznych trudności. Inna natomiast przeszkoda działa tu przepotężnie. Oto — słabe ciśnienie powietrza, wynoszące na samym szczycie $^1/_3$ normalnej atmosfery *), działa silnie na serce i piersi. Ta rzadkość atmosfery była powodem, że dotychczas — mimo (w przybliżeniu według dat z misyi protestanckiej w Moschi) setki wypraw — zaledwo kilku podróżnikom udało się szczyt zdobyć. Pasya szewska po prostu po-

*) Pomiarów aneroidem nie mogłem robić, bo skonstruowany do skali maksymalej 2400 m., już w drodze na plateau się zepsuł.

rywa, kiedy widzi się zmuszonym, co kilkanaście kroków przez dłuższy czas odpoczywać. Krew zaczyna występywać na plecach i piersiach*), w nosie i ustach smak i zapach krwi. Niema rady, albo zawrócić, albo powoli ale systematycznie piąć się w górę z zegarkiem w ręku: co trzydzieści kroków postawionych w niesłychanym, nieprawdopodobnym trudzie padam na 5 minut i odpoczywam. Już za małą chwilkę po kilku głębokich oddechach zda się, że wszystkie siły wróciły, wiatr chłodny orzeźwia i przypomina, że nad Mavenzim gromadzą się chmury i lada chwila i Kibo ogarną, a wtedy? Więc naprzód! I znowu stara historya! Zadzierać głowy do góry nie można, bo za każdym razem czyha silny zawrót głowy. Pulsa walą niby sto młotów, nacieram głowę wodą, cieknącą z małych pólek śniegowych**). Spalone usta zwilżam wodą i piję, piję śnieg, lecz jawią się na nim krople krwi, a obraz ten tem silniej rozdrażnia nerwy. A tam w górze u wrót przełęczy stoi niewielka turniczka i mimo, że słońce już u południa wcale się nie zbliża! A tam w górze, na tle ciemno-błękitnego nieba przeświecają gwiazdy. Gwiazdy i słońce! Niezapomniany widok!

W odległości około 200 m. od szczytu, przechodzę w poprzek piarżyska, i wchodzę na „Lodowiec Ratzel'a"; po twardym śniegu idzie się nieco łatwiej, lecz mimo to trzymam się reguły: co trzydzieści kroków 5 minut odpoczywać. Szkoda bowiem krwi tracić. — Ostatki sił — i oto pyramida osiągnięta. Wchodzę na nią (tu zostawiam mój bilet), a stąd na lodowy brzeg krateru. Grożny, ale piękny potwornością obraz roztacza się przedemną. Z dna krateru o średnicy $2^1/_2$ km. sterczą pionowe, idealnie pionowe ściany gór lodowych, niczem nie przypominające lodowców alpejskich, a raczej lody oceanów arktycznych. Zdejmuję na prędce 2 najciekawsze miejsca z wnętrza i boków krateru, — ostatni to czas, bo w tej chwili obejmują mnie chmury, i świat cudów i marzeń sennych jak tajemne widziadło znika mi z oczu.

Wchodzę jeszcze z przełęczy na właściwy brzeg krateru, wyniesiony nad nią nie więcej jak 40 m. Brzeg cały jakby wytyczony cyrklem, otacza linią słabo się tylko falującą idealne wprost koło krateru Tak więc stanęła noga Polaka na najwyższym szczycie afrykańskim 6010 m., na jednym z najwyższych, jakie wogóle dało się osiągnąć.

Było 5 minut po pierwszej 13 marca. Rozpocząłem odwrót. Zacząłem zjeżdżać po usypisku żlebu, z lekka jedynie suwając nogami, z uwagą tylko, by równowagi nie tracić. Znakomitą się służką okazała wierna tyczka bambusowa, nieodłączna towarzyszka ma po niższych wzrostem braciach Ki-

---

*) Wskutek choroby tropikalnej zw. po niemiecku „roter Hund", polegającej wskutek nadmiernego wydzielania się potu na zapaleniu i słabem owrzodzeniu gruczołów potowych.

**) Podobne stany przeżywali i inni zwiedzający Kilimandjaro (patrz Wiedemann, H. Mayer, mis. Happich).

limandjaro*). Po jednej godzinie przyjemnej jazdy, znajduję się w towarzystwie moich murzynów, pomimo derek niemiłosiernie marznących mimo białego dnia. Następują serdeczne i długotrwałe uściski murzynów, winszujących mi ziszczenia marzeń, a oczywiście *eo ipso* oczekujących odpowiedniego baksziszu. Długo i szeroko muszę im opowiadać o samotnej drodze, co przyjmują wśród objawów zachwytu, nieszczęściem u nas mającym zgoła inne znaczenie. Po krótkim, zimnym posiłku wracamy tą samą drogą i tego samego dnia w nocy schodzimy do obozowiska z namiotami, gdzie nas zbiegły kucharz i tragarz bez śladu zażenowania najspokojniej oczekują.

Próżno owej nocy oczekiwałem widoku Kibo. Jakby ze wstydu okrył się oponą chmur, aż dopiero po kilku dniach, gdym już odchodził w dalszą drogę, do angielskich kolonii, żegnał mnie cudownym widokiem.

Zaczęła się wielka pora mokra, na dole objawiająca się w formie zlew prawdziwie afrykańskich, a tam w górze jak u nas — po europejsku. Spadły białe całuny śniegowe, aż po granice wrzosowisk, pokrywające sobą ścieżki a z nimi i kości biednych murzynów-niewolników, nieszczęśliwych ofiar dawniejszych wypraw na Kilimandjaro.

I z dala, setki kilometrów żegnał mnie cudny białością, dumny, wielki, imponujący.

Dr. GYULA KOMARNICKI.

Na turniach Kończystej.

(Dokończenie).

Cóż teraz nastąpić miało?

Według programu: długi odpoczynek, potem zejście w dolinę; — w rzeczywistości: krótki pobyt na szczycie, a potem, — dalejże poprzez turnie północnej grani Kończystej. Znalazłszy się już raz tu w górze, nie chcieliśmy pomijać sposobności zawarcia i z niemi znajomości.

Ze wszystkiemi, — to było już obecnie niemożliwe. Mała Kończysta wznosi się bowiem w samym środku łańcucha, a ponieważ zamierzaliśmy iść granią ku południowi, musiała odpaść przestrzeń na północ od naszego szczytu — między nim a Przełęczą ku Drągu.

Strata niewielka. Tak, czy owak, zyskalibyśmy tam niewiele. Zadawalnia też nas zupełnie fakt, że — tkwiąc jeszcze w północnych stokach Małej Kończystej — dokładnie przyglądnęliśmy się całej tej partyi. Było to dla nas o tyle ważne, że pragnęliśmy łącząc piękne z pożytecznem — wy-

*) Wulkan Rungre (3170 m.) i starokrystaliczna Mbeya (2800 m.). Szczytu tej ostatniej z powodu choroby nie zwiedziłem.

zyskać naszą wycieczkę i raz na zawsze załatwić się gruntownie z wątpliwościami, tyczącemi się całej północnej grani Kończystej.

Bezpośrednio na północ od Małej Kończystej widać było kształtną grupę zębów; cztery niewielkie igły skalne — z jednej wyrastające podstawy — skupiły się razem, niby piszczałki organów; bezpośrednio do nich przytula się niezgrabna turnia — to Turnia nad Drągiem. Z tej strony niepozorna, z drugiej opada bardzo nizko. Dalej tworzy grań ostatnie jeszcze wzniesienie, filigranową turnię Drąga i obniża się w końcu ku poblizkiej Przełęczy ku Drągu.

Wszystko tam takie małe, takie ładne. Tak jakby było „nie dla rąk, ale dla oczu tylko".

W stronie jednak, ku której obecnie zdążamy, piętrzy się grań turniami całkiem innego kalibru. W środku północnej grani Kończystej wznoszą się trzy okazałe szczyty. Mógłbym je oznaczyć jako środkowe turnie Kończystej. Najbardziej ku północy wysunięta, dwugarbna postać skalna to Mała Kończysta, na której południowym wierzchołku właśnie odpoczywamy. Po niej następuje piękna turnia, trójzębnej koronie podobna. Trzecia z rzędu, której rzeźba bardziej od tamtych pojedyncza — przedstawia się do zaokrąglonej kopuły podobna. Skały i piarg, które potem następują, należą już do ściślejszego obrębu właściwej Kończystej. Zamiarem przeto naszym było — skoro już znaleźliśmy się na pierwszej z środkowych turni Kończystej; — złożyć wizytę także i obu pozostałym.

Dictum, factum. Natychmiast ruszyliśmy w dalszą drogę. Zrazu wiodą nas szybko ku dołowi dobre stopnie grani Małej Kończystej, opadającej od południowego wierzchołka ku następnej przełączce. Lecz wkrótce przychodzi stopień, przy przejściu którego dobrze trzeba było naciągnąć się, zanim dał się osiągnąć pewny grunt pod nogami. Zaraz potem zagrodził drogę wysoki uskok, którego przezwyciężenie bez użycia liny dużo nastręczyło roboty, kiedy się jednak jest we dwóch na linie, to miejsca takie, przy pewnej ostrożności, przechodzi się całkiem dobrze. Skoro bowiem pierwszy ubezpieczony z góry wyszukał najlepszy sposób zejścia, może dyktować z dołu następcy punkty oparcia dla rąk i nóg. W ten sposób i teraz także zejście uskokiem poszło zupełnie gładko.

Staliśmy tedy na wązkiej przełęczy. Z drugiej strony piętrzyła się śmiało grań ku środkowej z trzech wielkich turni Kończystej. Od niej oddziela się ku północy dość wyodrębniony występ skalny, opadający w końcu niemal pionowo na naszą przełęcz.

Uskok ów przedstawia się wcale groźnie. Coby to było, gdyby się tak musiało wspinać nim wprost? Tego jednak na szczęście można uniknąć. Na lewo bowiem — na wschodnich zboczach — nasuwa się możliwość obejścia uskoku, nawet bez zbytniego oddalania się od ostrza grani. Kilka kroków zaledwie dzieli nas od początku stromego zacięcia, utworzonego przez wysterczające od lewej strony skały. Wiodło nas ono w górę skośnie w lewo; — potem wywinąwszy w prawo, dobiliśmy ścianą grani, która —

tu w górze tracąc na pochyłości — wywiodła nas w końcu na wierzchołek owego odosobnionego zęba.

Zdobił go naturalnie wielki kopiec. Po krótkich poszukiwaniach znalazło się także blaszane pudełko, którego zawartość natychmiast zbadaliśmy. Gdy już wszystkie bilety wyładowane zostały, wyjrzał ku nam z dna pudełka zgrabny portrecik damski. Była to podobizna pani Heleny Koziczyńskiej, na której też cześć ząb ów otrzymał nazwę „Turni Heleny".

Ku północy spadek jego jest istotnie znaczny, z drugiej natomiast strony przytyka tuż do gmachu skalnego turni, do której należy, tak, że wydaje się być jej częścią składową. „Turnia Heleny" nie może zatem rościć sobie specyalnych pretensyi do samodzielności, łączy się bowiem jak najściślej z całością posadu. Mimo to, jako wcale charakterystyczny punkt w grani zasługuje, zdaniem mojem, na nazwanie, ewentualnie na zatrzymanie nadanej już nazwy. Odcina się bowiem dość ostro od grani; podobnie jak np. Igła w Wysokiej pod Smoczym Szczytem lub Żabia Lalka przy Żabim Mnichu.

Ale dość już słów przetrwoniłem dla „Turni Heleny". Cóż jednak mam powiedzieć o tem dopiero, co przyszło teraz. Zbliżyliśmy się do najciemniejszego punktu całej północnej grani Kończystej.

Jak wiadomo, wprowadzono dla omawianej obecnie grupy w literaturze cztery różne nazwy; a to — „Turnia Heleny, Konrada, Ludwika i Hiboka". Że nie chodzi tu jedynie o rozmaite nazwy jednego i tego samego przedmiotu, lecz o rzekomo istniejące różne s z c z y t y, tego dowodzi okoliczność, że każda z wyżej wymienionych turni poszczycić się może własnem „p i e r w s z e m w y j ś c i e m".

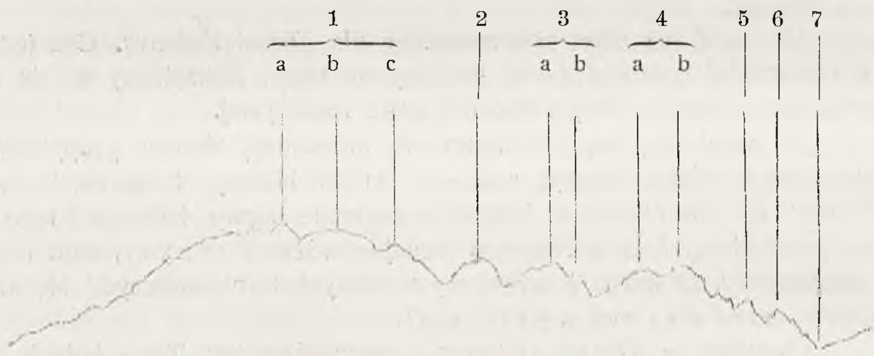
Pierwszą — „Turnię Heleny" — poznaliśmy już. Teraz jednak mieliśmy wkroczyć w szczęśliwą krainę, gdzie — gdyby nie wcześniejsze informacye — żaden z nas nawet nie przeczułby tego, że za każdym krokiem miało się tu zdobyć — jeden — dwa — trzy szczyty. Obecnie wiedzieliśmy o tych żartach i dlatego prędko mogliśmy się zoryentować we właściwej sytuacyi.

Z „Turni Heleny" schodzi się nieco w dół na przełączkę, oddzielającą ten ząb od właściwego wierzchołka posadu. Z drugiej strony grań podnosi się znowu i z pierwszym zębem, jaki tu występuje, osiągnęliśmy najwyższe wzniesienie masywu. Niemal poziomo biegnie grań do sąsiedniej, tuż obok leżącej wypukłości; między niemi brak nawet cokolwiek choćby wybitniejszego wgłębienia; istnieje tylko łagodna depresya o 2—3 metrach głębokości. A jednak — wychodząc na te dwa wzniesienia, zwiedziliśmy dwa różne od siebie „szczyty".

I patrzaj, tam, wynurza się jeszcze trzeci! Już nieco bardziej odległy, w pośrodku nawet mała przełączka. Ów ostatni ząb, który osiągamy granią, stanowi równocześnie krańcowy, ku południowi wysunięty punkt szczytu. Odtąd bowiem grań opada głęboko ku przełęczy, ograniczającej od południa gmach skalny turni.

Te trzy garby, — „turniami Konrada, Ludwika, Hiboka“ zwali je dotąd naiwni ludzie — zmalały w rzeczywistości do jednej jedynej turni. Ponieważ zaś wyniosłość, nazwana „Turnią Konrada“, jest najwyższa, nazwa ta powinna obejmować całą turnię.

Wzniesienie to, nazwane teraz „Turnią Konrada“, a stanowiące z „Turnią Heleny“ zamkniętą całość, samodzielnością i wielkością nie ustępuje niemal Małej Kończystej. Zapewne, pod względem znaczenia turystycznego z tą ostatnią mierzyć się nie może. Bo „Turnia Konrada“ — choćby dla swego położenia — nigdy, zdaje się, nie doczeka się, by zwiedzano ją dla niej samej; a wobec tego, że liczy się ona do szczytów, które jedynie w ramach graniówki przechodzi się „po drodze“, można postawić tu tylko pytanie, w jakim stosunku pozostaje ona do całości. Pod tym zaś względem mogliśmy być w każdym razie całkowicie zadowoleni z „Turni Konrada“, — był to wcale ładny „ciąg dalszy“ naszej drogi.



Profil Kończystej widzianej z Gierlacha.

1. Kończysta { a — główny wierzchołek (2540 m.). b — I. wierzchołek północny. c — II. wierzchołek północny.

2. „Turnia Mefista“.

3. „Turnia Konrada“ { a — punkt najwyższy. b — ząb w grani pn. („Turnia Heleny“).

U w a g a. Dwa niepozorne równej niemal wysokości występy skalne, tuż na lewo od najwyższego punktu „Turni Konrada“ są identyczne z t. zw. „Turnią Ludwika“ i „Turnią Hiboka“.

4. Mała Kończysta { a — wierzchołek południowy. b — wierzchołek północny (główny) [2475 m.].

5. Turnia nad Drągiem.

6. Drąg.

7. Przełęcz ku Drągu.

To samo da się powiedzieć o ostatniej z trzech środkowych turni Kończystej — o „Turni Mefista“. Stojąc na południowym zębie „Turni Konrada“ mieliśmy przed sobą jej odosobnioną postać, wyróżniającą się od

obu poprzednich rozłożystych turni swym jednolitym zwartym kształtem. Ze wszystkich stron jednostajnie sklepiona, podobna jest ogromnej kopicy siana, wyrastającej z otaczających ją piarżystych zboczy. Łańcuch Kończystej zatraca bowiem tutaj powoli swój wybitny charakter grani, od zachodu bowiem podnosi się niemal pod samą grań szerokie zbocze, poprzerzynane terasowato wznoszącemi się piarżystemi półkami.

Pragnąc osiągnąć jak najwygodniej „Turnię Mefista", wywinęliśmy z przełęczy nieco na prawo, i wydostawszy się na grań nieco powyżej, postępowaliśmy nią aż po niedaleki wierzchołek. Wytchnęliśmy tutaj trochę, bo wielogodzinny forsowny marsz, zaczął się dawać we znaki. Potem ruszyliśmy dalej. Południowa grań sprowadziła nas w dół; — u dołu zeszliśmy, celem uniknięcia trudności — nieco na prawo.

Deptaliśmy teraz piarg. Już poza nami północna grań, jej zęby i turnie. Lecz jak już raz tego dnia zdecydowaliśmy się przedłużyć wycieczkę, tak i teraz nie chcieliśmy nic wiedzieć o zejściu. Zaszliśmy już tak daleko — mówiliśmy sobie — to powinniśmy iść dalej, aż na Kończystę! Bo jasne było: jeśli nie skorzystamy teraz ze sposobności, gdyśmy się tak blizko do niej zbliżyli, to perspektywa zapoznania się z Kończystą odwlecze się na czas nieokreślony. Żal by nam było, gdybyśmy na tak długo nie mogli zaliczyć do swych znajomych jednego z głównych szczytów Tatr.

Argument ten rozwiązał kwestyę; pomimo zmęczenia i spóźnionej pory postanowiliśmy przedłużyć marsz nasz ku Kończystej. Wzdychając ciężko, powlekliśmy się ku szerokiej kopule, sterczącej przed nami w grani, poza którą spodziewaliśmy się już głównego szczytu.

Posuwaliśmy się sumiennie czystą granią. Był to bezwarunkowo zbyteczny luksus ze względu na sposobność wygodniejszego i żwawszego posuwania się stopniami, półkami i piarżystemi terasami prawego zbocza. Przejście należało jednakowoż stylowo do końca doprowadzić, dlatego więc niestrudzenie wspinaliśmy się dalej po głazach grani. Minęło dobre pół godziny, zanim wydostaliśmy się wreszcie na grzbiet kopuły. Lecz o zgrozo. Przed nami wynurza się drugi, przerastający nas nieco grzbiet. Samej Kończystej — którą poznalibyśmy przecież po „Koniu Jarmay'a" — jeszcze ani śladu.

Na kopie przed nami sterczała tyczka tryangulacyjna. Zaczęliśmy się domyślać. Wszakże zarówno ku północy jak i ku południowi wysuwa Kończysta po dwa niższe wierzchołki. Kopa z tyczką jest pierwszym północnym wierzchołkiem, podczas, gdy myśmy stali dopiero na drugim. Dla nas — śmiertelnie zmęczonych wędrowców zaiste miła niespodzianka.

Zniechęceni i klnąc pod nosem tłukliśmy się dalej. Ponieważ grani mieliśmy już po uszy, a do najbliższego wzniesienia zataczała ona wcale znaczny łuk w prawo, porzuciliśmy „zawrotne wyżyny" i obchodząc grzbiet zachodnim stokiem, trawersowaliśmy zwolna w górę, w stronę głównego szczytu. Korzyść tego kroku okazała się zaraz. Akuratnie kwadrans upływał,

gdy już drapaliśmy się po ostatnich skałach, ponad któremi sterczący skalny kolos „Konia Jarmay'a“ zwiastował, że dotarliśmy do upragnionego celu.

Mieliśmy już dość dobrego. Do tego stopnia dosyć, że unisono zrezygnowaliśmy z wyjścia na najwyższy w rzeczywistości punkt Kończystej. Dokładnie na szczycie sterczy około 2–3 metrowej wysokości blok skalny w kształcie grzyba. Jest to zw. „Koń Jarmay'a“, i on dopiero stanowi najwyższe wzniesienie Kończystej.

Na szczycie powitał nas silny wiatr wschodni, zmuszając do szukania poniżej grani schronienia dla naszych mocno spoconych ciał. Opuściliśmy się na stronę zachodnią, a przykucnąwszy pod głazem, mogliśmy nareszcie nieco wytchnąć. Niestety, długi, piękny pobyt na szczycie nie był nam dzisiaj przeznaczony. Było już blizko w pół do siódmej wieczór, najwyższy zatem czas, by pomyśleć naprawdę o powrocie.

Jeszcze raz powróciliśmy na grań, by oczom naszym pozwolić pobujać po dalach przepysznej panoramy, oblanej właśnie bladymi blaskami zachodzącego słońca.

Widok z Kończystej, jako jednego ze szczytów, co ku południowi daleko wrzynają się w spiską równinę, obfituje w najprzedziwniejsze kontrasty.

Tam: hen w dole u naszych stóp bezkreśna płaszczyzna z porozrzucanemi niezliczonemi siedzibami ludzkiemi. Wszystko spowite w błogą ciszę i pogodne ukojenie.

Tu: w najbliższem otoczeniu nieokiełzana dzicz skalna, w swym burzliwym zamęcie sprawiająca wrażenie, jakby ten świat podczas największej zawieruchy nagle zastygnął.

Najpotężniej przykuwał nas do siebie widok w stronę Batyżowieckiego kotła; obraz ten towarzyszył nam także podczas całej wyżynnej wędrówki. Króluje tu niepodzielnie przerastający wszystko Gierlach. Zwrócony ku nam całą szerokością swej olbrzymio piętrzącej się ściany zachodniej, przez swe nadnaturalne rozmiary składa się na iście alpejski obraz, przedziwnej pełen prostoty.

Odwróćmy się jednak od niego, a ujrzymy przed sobą przepych skalnej krainy Mięguszowieckiej Doliny, w dali zaś Tatry Zachodnie. Krajobraz ten nie znika nam z oczu przez cały czas, kiedy pospieszamy ku dolinie przez piarżyste zbocza, ciągnące się od szczytu aż ku pustym polom Stwolskiej Przełęczy. Niestety, niewiele tylko pozostaje dla nas z piękności otoczenia. Nieczuli niemal, błądząc oczyma przed sobą — skakaliśmy z głazu na głaz i potykali się w piargach, aby zejść na Stwolską Przełęcz.

Nareszcie pozostają za mną pola złomisk; z miękkich trawników przełęczy rozglądam się za bratem, który został w tyle. Wysoko w górze walczy on jeszcze z morzem piargów. Jedynie od czasu do czasu dolatujący zdala szelest toczących się głazów zdradza, że porusza się tam ludzka istota.

Przez obszerną terasę przełęczy wlokę się zwolna do miejca, gdzie zaczyna ona opadać ku Dolinie Złomisk. Tutaj postanawiam czekać na brata.

Otacza mię głęboka cisza i niczem niezmącona samotność. Poważny urok konającego dnia rozlewa się nad krajobrazem skał. Jeden odcień, jedna barwa opanowuje firmament na zachodzie. W jaskrawo-złocistych blaskach płonie niebo i silnie odrzynają się czarne kształty śmiało zarysowanych skalnych potworów. Wprost przed sobą widzę Wysoką. Ponuro — niesamowicie niemal wygląda ta zwarta, martwa masa wyrastająca w próżnię. I gdym tak na nią patrzył, zrozumiałem ów potężny czar, jaki ta góra na tylu z ludzi wywiera: ów potężny czar Wysokiej, którą od przebrzmiałych pieśni legendarnych górali aż do żywiołowego okrzyku tryumfu skalnego zdobywcy, — wszystko i wszystko uwielbia...

Niecierpliwie spojrzałem za siebie, wołałem w skalną pustkę głośno i długo. Samotność stawała się przygniatającą, nieznośną. Wreszcie zamajaczyła na krawędzi terasy sylwetka Romana. Złączywszy się, ruszyliśmy dalej, ku Zmarzłemu Stawowi, w którym lśniło się blade odbicie wieczornego nieba.

Szybko znalazło się najdogodniejsze zejście z przełęczy. Jakiś czas szliśmy prawą stroną grzędy, wyrastającej w pośrodku stoku, potem postanowiliśmy przejść w lewo do piarżystej rynny. Przez eksponowaną krawędź osiągnęliśmy wązki zachodzik, który zawiódł nas do rynny. Popuściwszy tutaj wodze, popędziliśmy w raźnych podskokach do Zmarzłego Stawu. Kiedym stanął nad jego brzegami, pierwszą czynnością moją było wypróżnienie dwu manierek z wodą. Zaraz też powróciło w me strudzone ciało ożywienie i ruchliwość.

Najlepsze przychodzi na końcu — mówi wypróbowane przysłowie. Także teraz sprawdziła się jego wartość.

Mieliśmy jeszcze zakosztować przyjemności nocnego spaceru Doliną Złomisk.

Aż nazbyt często gubiliśmy ledwie dotrzegalną ścieżynę. „Zmysł oryentacyjny i zdolność wynajdywania ścieżek“ musiały wówczas dokonywać cudów. W poszukiwaniu zgubionych śladów biegło się z latarką wzdłuż i wszerz. To też ostatnia ta część dzisiejszej włóczęgi zdawała się przeciągać w nieskończoność. Późna noc była, gdy wstępowaliśmy znowu do schroniska nad jeziorem.

Wszystko spało; czuwały tylko anioły-stróże tego schroniska. Oczekiwały dwu strudzonych wędrowców, by po trudach minionego dnia troszczyć się o ich cielesne wygody.

*
*   *

Ciekawa rzecz, jak na zainteresowanie się kół turystycznych pewnymi szczytami i przejściami wpływają drobiazgi albo nawet uprzedzenia. Nie ulega wątpliwości, że całe lekceważenie północnej grani Kończystej da się sprowadzić do podobnych przyczyn.

Czyż można znaleźć coś poważnego tam, gdzie dla igraszki i swawoli tak szerokie otwarło się pole? — sądziła może większość.

Jeśli istnieje jednak gdzieś takie przekonanie, muszę je zbić jako z gruntu fałszywe. Jak mię nasza wycieczka przekonała, to niech i drugim służy za dowód, że północną grań Kończystej spotkała niezasłużona pogarda i lekceważenie i że godną jest ona zyskać łaskawsze względy taterników.

Prawda, skalny świat Kończystej krainą problemów nie jest. Są jednak drogi górskie, które ceni się i za piękne uznaje, mimo, że nie można mówić o nich w samych superlatywach.

A chociaż i to prawda, że z pierwszymi wyjściami i nazwami turni w grani Kończystej nazbyt wiele pozwalano sobie, nie wynika jeszcze z tego, by wśród owych zębów, które niedługo zapadną w mroki zapomnienia, nie było poważniejszych szczytów. Trzy środkowe turnie Kończystej: Mała Kończysta, turnie „Konrada i Mefista“, — to szczyty, o których samodzielności ani przez chwilę wątpić nie można.

Ale nawet i nie o tych ich właściwościach myślę, gdy mówię o nich. Nie wielbię ich samych dla siebie, jako indywidualności górskich. Całość ich oto łącząca się w jednym potężnym zespole — w północnej grani Kończystej, — ona daje sposobność do wspaniałej wycieczki: do przejścia tej grani.

Oby ta piękna droga granią zachęciła do częstszych odwiedzin jednego z zapomnianych wierzchołków, będącego kopciuszkiem wśród wielkości tatrzańskich.

Zaiste zapomniana to góra — Kończysta. Rzadko się znajdzie, ktoby się zabłąkał na jej wyniosły wierzchołek. Lecz, jak nic nie dzieje się bez przyczyny, tak i tu rzec można: któż pójdzie chętnie na szczyt, którego zwiedzenie jest tylko jednym wielkim mozołem. O Kończystej jednak — na moje sumienie — trudno coś lepszego powiedzieć.

Pominąć ją jednak zupełnie byłoby niezasłużonem opuszczeniem. Bo ten, kto wyjdzie na Kończystą jej północną granią, ten cieszyć się może wycieczką, nie wyłącznie w piękne widoki bogatą, ale i w taternickie wrażenia obfitą.

W uzupełnieniu mej pracy podaję jeszcze następujące daty:

1. Zachodnia ściana M. Kończystej. I. przejście: M. Bröske i K. i L. Koziczyńscy 1. lipca 1906. — Odnośnie do tego patrz opisy dróg w „Taterniku“ (Rocznik I. Nr. 2, str. 27) i w Przewodniku Dr. A. Otto „Hohe Tatra“ (wydanie VII., str. 137). Jak z opisów wynika, oryginalna droga musi być bardzo trudna. Według opisu jednak niepodobna jej znaleść.

2. Północna grań Kończystej. Literatura. Dr. A. Otto „Hohe Tatra“ VI. i VII. wydanie. — J. Chmielowski. „Rocznik Węg. Tow. Karp.“ XXXII. (1905) „Reisenotizen aus der Hohen Tatra“ (str. 57). — Zestawienia wycieczek Dr. A. Martina w Oe. A. Z. z 1907, Nr. 751 i r. 1908, Nr. 754. — Dr. H. Rumpelt: „Turen in der Hohen Tatra“, Oe. A. Z., r. 1909 Nr. 791 i 792.

Na wzmiankę zasługuje także notatka dr. A. Martina w „Akademischer Alpenverein Berlin VI. Jahresbericht 1908“ (str. 27), ponieważ tam po raz pierwszy wykazano

nadużycia, jakich się z pierwszemi wyjściami i nazwami w półn. grani Kończystej dopuszczano.

D o h i s t o r y i p i e r w s z y c h w y j ś ć i n o m e n k l a t u r y. *1. Drąg* (niem. Franzturm): Dr. M. Szontagh jun. i dr. Z. Zsigmondy z J. Franzem sen. 11. sierpnia 1905. Nazwa turni — jak mię zapewnił Zsigmondy — nie pochodzi od nich. Nazwy jednak, którą oni turnię ochrzcili, dokładnie sobie już nie przypomina.

2. Turnia nad Drągiem (niem. Eisseeturm). Dr. M. Szontagh jun. i Dr. Z. Zsigmondy z J. Franzem sen. 11. sierpnia 1905. — Zdobycie tej turni przypisywano dotychczas E. Dubke'mu — z Franzem sen. i J. Breuerem (patrz wymienione wyżej zestawienie wycieczek dr. Martina). Dubke opierał się na relacyi Franza, według której Franz z Szontagh'iem i Zsigmondy'm 11. sierpnia 1905 mieli dotrzeć granią tylko do przełączki między Drągiem a Turnią nad Drągiem i stamtąd zejść wprost do Doliny Batyżowieckiej. To oświadczenie Franza jest jednak nieprawdziwe. Zsigmondy mówił mi osobiście, że owego dnia zwiedzili t r z y t u r n i e i dotarli aż do M. Kończystej. Ostatni szczegół potwierdza znalezienie przez M. Bröske'go ich biletów na północnym wierzchołku M. Kończystej. Mogłaby jeszcze istnieć ewentualność, że Szontagh i Zsigmondy zwiedzali znowu grań później, bez Franza. Zsigmondy zapewnił mię jednak stanowczo, że byli na półn. grani Kończystej j e d e n j e d y n y r a z i przy tej sposobności zwiedzili wszystkie trzy turnie z J. F r a n z e m s e n. Twierdzenie zatem Franza co do I. wyjścia na Turnię nad Drągiem niema znaczenia: skoro bowiem jest rzeczą dowiedzioną, że Szontagh i Zsigmondy doszli aż po półn. wierzchołek M. Kończystej, z drugiej zaś strony Zsigmondy twierdzi stanowczo, że zdobyli trzy szczyty, to ani na chwilę nie można podawać w wątpliwość jego i Szontagha z Franzem sen. pierwszego wyjścia na turnię pomiędzy Drągiem a M. Kończystą, chociaż nawet nie było na szczycie żadnego kopczyka. — W końcu co się tyczy nazwy, to omawiana turnia znana była w literaturze pod nazwą „Zwillinge". Jest jednak rzeczą bardzo wątpliwą. czy ta nazwa należy do tej turni i słusznie do niej byłaby zastosowaną; wydaje się o wiele prawdopodobniejszem, że pod „Zwillinge" rozumieć należy M. Kończystą (patrz Dra Otto „Hohe Tatra" VII. wyd.), która to nazwa — całkiem zresztą zbyteczna — odpowiada raczej tej ostatniej, dwuszczytowej postaci górskiej. Turnię tę — według Zsigmondy'ego ochrzcili oni, pierwsi zdobywcy nazwą „E i s s e e t u r m" — nazwa, która dopiero tutaj po raz pierwszy zostaje opublikowaną.

3. Mała Kończysta (p ó ł n o c n y w i e r z c h o ł e k): Dr. M. Szontagh i Dr. Z. Zsigmondy z Franzem sen. 11. sierpnia 1905.

4. Mała Kończysta (p o ł u d n i o w y w i e r z c h o ł e k): M. Bröske, K. i L. Koziczyńscy 1. lipca 1906.

5. *»Turnia Konrada«:* K. Koziczyński z J. Breuerem 27. lipca 1909. (*„Turnia Heleny":* Helena i L. Koziczyńscy z J. Breuerem i J. Hundsdorferem sen. 18. lipca 1909). Porządek nazw poszczególnych zębów tej grupy podaje literatura rozmaicie. Prawdziwy porządek podał dr. Martin w „Akademischer Alpenverein Berlin V. Jahresbericht 1908"; a więc od północy ku południowi turnie: „Heleny, Konrada, Ludwika, Hiboka". Szereg ten ustalił dr. Martin na podstawie znalezionych biletów wizytowych; jest on przeto bezwzględnie słuszny.

Dziwna przy tem rzecz, że data zdobycia zębów zwanych „Turniami Konrada" i „Hiboka" przypada na jeden dzień, „Turni Ludwika" natomiast leżącej p o m i ę d z y t a m t e m i na całkiem inny.

6. *»Turnia Mefista«.* K. Koziczyński z J. Breuerem 27. lipca 1909.

W końcu wymieniam inne jeszcze nazwy, odnoszące się do północnej grani Kończystej, a które w literaturze ujrzały światło dzienne: „Szczyt Koziczyńskiego", „Pancerna Turnia I. i II.", „Turnia Elfrydy", „Turnia Małgorzaty". Wszystkie nazwy występują w n i e m i e c k i e j literaturze, dotychczas bowiem tylko ta zajmowała się północną granią Kończystej.

Itinerarium naszej wycieczki: Zmarzły Staw 11^{00}, wejście w zachodnią ścianę M. Kończystej 1^{00}, M. Kończysta (półn. wierzch.) 3^{00}—3^{15} (na przejście zachodniej ściany wystarcza przeciętnie ok. 1 g.), południ. wierzchołek 3^{35}—3^{45}, „Turnia Heleny" 4^{20}—4^{30}, „Turnia Konrada" 4^{45}, „Turnia Mefista" 5^{15}—5^{25}, II. półn. wierzchołek Kończystej 6^{00}—6^{05}, główny wierzchołek Kończystej 6^{20}—6^{25}, Zmarzły Staw 7^{45}.

W sprawie nomenklatury tatrzańskiej.

OŚWIADCZENIE.

Potrzeba uzupełnienia i ujednostajnienia polskiej nomenklatury tatrzańskiej odczuwana jest od dawna. Sprawa ta jednak utyka, ponieważ komisya dla nazw w Tatrach, powołana do życia w r. 1903 przez Towarzystwo Tatrzańskie jest nieczynna. Ten ubolewania godny fakt skłonił podpisaną Redakcyę i autora Przewodnika po Tatrach do wspólnego porozumienia się celem ujednostajnienia nomenklatury przez usunięcie różnic, jakie istniały dawniej między imiennictwem przyjętem w Przewodniku, a nomenklaturą używaną w Taterniku, oraz uzupełnienia jej przez wprowadzenie szeregu nazw — dla współczesnej literatury tatrzańskiej nieodzownych. Nie uzurpując sobie żadnego prawa nadawania nazw tatrzańskich o charakterze obowiązującym, — jeno ujednostajniając i uzupełniając nomenklaturę wyłącznie dla Taternika i Przewodnika, — zdajemy sobie równocześnie dobrze sprawę z tego, że z natury rzeczy większość nazw w tych dwu publikacyach przyjętych otrzyma w przyszłości sankcyę nazw powszechnie obowiązujących. Dlatego w przyjmowaniu nazw uważaliśmy za swój obowiązek kierować się zasadami przyjętemi przez ankietę z dnia 24. sierpnia 1903 r. na wniosek Prof. Dra Jana Gwalberta Pawlikowskiego.

O ile przeto nazwy przyjęte przez nas nie są ludowe (wiadomość o tych zawdzięczamy przedewszystkiem znawcy Tatr Drowi Stan. Eljaszowi Radzikowskiemu), przyjmowaliśmy i będziemy przyjmować nazwy nadane zwyczajem taternickim przez zdobywców danych szczytów albo pierwszych polskich turystów zwiedzających dane okolice (lub po porozumieniu się z nimi), wszakże o tyle tylko, o ile one wymienionym wyżej zasadom w zupełności odpowiadały lub odpowiadać będą.

W lipcu 1910 r.

Dr. Zygmunt Klemensiewicz
Roman Kordys
za Redakcyę „Taternika".

Janusz Chmielowski
autor „Przewodnika po Tatrach".



Fot. D. K. K. Nakł. Sekcyi Turyst. T. T. 1910.

WIDOK Z BARANICH ROGÓW.

Nowe drogi.

Niebieska Turnia. Wyjście drogą częściowo nową (od Przełęczy Świnickiej).

Na samej Przełęczy Świnickiej (2055 m), ok. 3—4 m. powyżej najniższego jej zagłębienia zaczyna się charakterystyczny zachód trawiasty, ciągnący się około 800 m. nieprzerwanie poprzez całą szerokość pn. ściany Świnicy i dalej po przejściu żlebu w pn. wschodnich ścianach tej ostatniej (zdąża nim droga D w Przewodniku J. Chmielowskiego, II. str. 28) popod Gąsienicową i Niebieską Turnię, gdzie się kończy. Wschodnia część tego zachodu od wymienionego wyżej żlebu w pn. wschodnich ścianach Świnicy po Niebieską Turnię przeszedł R. Kordys i tow. 21 sierpnia 1908 (ob. Taternik II. str. 90). Środkową część zachodu od wymienionego kilkakrotnie żlebu po grzędę, dzielącą pn. ścianę Świnicy na dwie (wsch. i zach.) części (grzędą tą lub obok niej zdąża na Świnicę droga opisana przez W. Kulczyńskiego i M. Świerza w Tat. II. str. 117) zwiedził podpisany (sam) 19 lipca 1909. Następnego dnia przeszedł zachód w całej długości od Przełęczy Świnickiej aż po Niebieską Turnię. Droga ta przedstawia się następująco.

Od Przełęczy Świnickiej ciągnie się zachód zrazu dość stromo w górę aż do małego siodełka w wymienionej wyżej grzędzie (kopczyk). Z drugiej strony siodełka mniej więcej poziomo do żlebu w pn. wschodnich ścianach Świnicy, który osiągamy przy piarżystej platformie. Stąd aż po Niebieską Turnię, jak w Taterniku II. str. 90 ($1^1/_4$ godz.). Droga nie nastręcza żadnych uwagi godnych trudności.

M. Lerski.

Niebieska Turnia. IV wyjście granią wschodnią. 16 maja 1910.

Niebieska Turnia opada ku wsch. na Niebieską Przełęcz dwiema 20-metrowemi, pionowemi ścianami, przedzielonemi od siebie kilkunastu metrami mało stromej grani. Dolna z nich urywa się nad przełęczą 6-metrowem nieco przewieszonem urwiskiem, którego pokonanie nastręcza największe trudności w wyjściu granią. I. wyjścia wschodnią granią*) dokonał w lipcu 1909 J. Jankowski z J. Marusarzem, ułatwiając sobie „żywą drabiną" przejście przewieszki. II. w. W. Kisielnicki (sam), bez użycia piramidki 12 sierpnia 1909, III. wyjście tenże sam z Tad. Wiluszem 13 sierpnia 1909. Odmienny sposób pokonania przewieszki (opisany niżej pod b) znajduje Z. Klemensiewicz (z M. Świerzem) 8 września 1909 r.

Mamy zatem dwa sposoby przejścia dolnych sześciu metrów: a) wprost przez przewieszkę. Na najwyższem wzniesieniu Niebieskiej Przełęczy znajduje się pod ścianą stopień. Z niego wprost w górę nieco przewieszoną ścianą. U spodu brak niemal zupełnie chwytów, wspinamy się zatem po niewyraźnych zacięciach (w jednem miejscu oparcie jedynie dla lewej ręki). Dopiero wysoko w górze znajdujemy lepszy chwyt. Po 6 metrach osiągamy malutki stopień, nad którym w długiem, skośnem pęknięciu hak do asekuracyi następców i pierwszego z idących (nieco na prawo dwa wygodniejsze stopnie).

b) waryant na lewo. Mniej więcej na poziomie najwyższego wzniesienia przełęczy, w dwumetrowej od niej odległości po lewej stronie (a więc po stronie Pięciu Stawów) dostrzegamy wązką listwę przerwaną w pośrodku. Powyżej i poniżej niej ściana przewiesza się (poniżej charakterystyczna żółta plama). Od krawędzi listwy, gdzie się urywa—długi krok w lewo, pod odpychającą przewieszką—na wybrzuszony nieco stopień, znajdujący się w ok. $1^1/_2$ metrowej odległości; dla rąk skąpe chwyty na ścianie (najtrudniejsze miejsce). W następnym momencie mamy już lepsze chwyty i wspinamy się niewyraźnem żebrem skalnem

*) Grań robiona była poprzednio jedynie w zejściu (I. prz. J. Chmielowski, A. Kroebl i A. Znamięcki z J. Gąsienicą Tomkowym 31 lipca 1908).

kilka metrów w górę do miejsca, gdzie w prawo wiedzie głębokie, poziome pęknięcie, nad którem ściana wybrzusza się. Niem ok. 3 metry (w środku brak chwytów dla rąk) — do stopnia przy haku. Waryant również b. trudny, łatwiejszy jednak od sposobu a (nieułatwionego naturalnie „żywą drabiną“ lub zarzuceniem liny), ale niebezpieczniejszy.

Od haka ścianką wprost w górę (nie w prawo!) do zacięcia, tworzącego dobry stopień. Stąd, obchodząc nieco w lewo po dobrych chwytach gładką ściankę, po kilku metrach na wygodny stopień, w którym hak. Ze stopnia skośnem pęknięciem nadzwyczaj stromo w górę, na mało stromą część grani (świetne miejsce do asekuracyi).

Przez bloki do następnej, sięgającej szczytu ściany. Na prawo od wysokiego filaru skalnego, wiedzie nią rodzaj płaskiej, pionowej niemal rysy. Nią do góry wśród średnich trudności (w jednem miejscu skąpe chwyty) — aż pod silną przewieszkę, którą obchodzimy na lewo poprzez bardzo stromą, eksponowaną płytę, obfitującą jednak w dogodne pęknięcia. Z płyty w prawo zaraz na obszerny stopień (miejsce do asekuracyi). Stąd przez nizki próg na niezbyt stromą, potężną płytę i nią na szczyt turni ($^1/_2$—$^3/_4$).

Wyjście nadzwyczaj piękne i interesujące.

Z e j ś c i e: Nie używając haka, wkutego u górnej krawędzi szczytowej płyty, opuszczamy się na wspomniany powyżej stopień, nad którym pętla. Ze stopnia puszczamy się na linie ok. 15 m. aż na małą stromą część grani, zawisając z powodu przewieszki u góry na chwilę wolno w powietrzu. (Przez tę część ściany można również schodzić bez zjazdu, drogą opisaną w wyjściu). Stąd opuszczamy się bez liny kilka metrów w dół na stopień po stronie Pięciu Stawów, w którym hak i zjeżdżamy od niego ok. 15 metrów na samą przełęcz.

Władysław Kulczyński. Stanisław Porębski. Mieczysław Świerz.

Grań Hrubego. I. p r z e j ś c i e c z ę ś c i g r a n i o d p r z e ł ę c z y T e r y a ń s k i e j W y ż n i e j 28 lipca 1908 z p. Pawłem Besterem.

Z Przełęczy Teryańskiej Wyżniej ku pn.-zachodowi wyprowadza nas wąziutka listwa skalna (po stronie Niewcyrki) na płyty, któremi skośnie w prawo osiągamy grań. Dość stromym koniem podchodzimy pod turnię I., której szczyt osiągamy obchodząc podwieszoną ścianę pęknięciem w prawo. Stąd łatwo na turnię II. (kwadratowa baszta) i po ostrych głazach w dół, aż do wystającej turniczki. Z niej (pętla) zjeżdżamy 8 metrów po stronie Niewcyrki na poziomy trawers, którym osiągamy małą przełączkę w grani. Stąd tępymi koniami dostajemy się na pochyłe płyty, z których pokonujemy tępy, bez chwytów stopień, wstęp na turnię III. Z za tej turni (blok, pętla) zjazd 10 m. po stronie Niewcyrki na dość szeroki zachód z którego przechodzimy w poprzek żlebik, pod przełączką za turnią III. i osiągamy wprost ścianą od południa turnię IV. (możliwe też na nią wyjście granią). Z turni tej napowrót do żlebu i nim opuszczamy się po płytach wymytych do górnego piętra Niewcyrki.

Przejście grani od Przełęczy Teryańskiej po turnię IV. 2 godziny.

Ferdynand Goetel. Walery Goetel. Mieczysław Świerz.

Kołowy. I. C a ł k o w i t e p r z e j ś c i e g r a n i o d K o ł o w e g o (2425 m.), przez M a ł y K o ł o w y (2276 m.) p o J a s t r z ę b i ą P r z e ł ę c z. 11 sierpnia 1905.

Między Kołowym a Małym Kołowym (niem. Englischspitze) wyróżnić można w grani dwa wzniesienia. Turnia bliższa Kołowego, dość wybitna, wysyła ku dolinie Kołowego Stawu boczną grań (mapa 1:25000 jest w tem miejscu mylna). Nosi ona niemiecką nazwę Roterseeturm (patrz. Jahrbuch d. U. K. V. XXXIII., 1906 str. 83 i Oe. A. Z. 1907, Nr. 751). Druga turnia, niższa nieco od poprzedniej, ale wyższa od Małego Kołowego jest punktem zwrotnikowym grani głównej z boczną (ku Jastrzębiej Turni). Jest to mało wybitne, szerokie, kopula-

ste wzniesienie (niem. Blauerseeturm), które ani wielkością, ani znaczeniem turystycznem się nie wyróżnia i nie jest godne osobnej nazwy. Tą część grani (między Kołowym a Małem Kołowym) przeszli pierwsi Krygowski, Jaworski i Fischer z Klimkiem Bachledą i J. Kasprusiem Gąsienicą Zazuniakiem w 1900 r. Między Małym Kołowym a Jastrzębią Turnią wznoszą się trzy mało wyodrębniające się występy w grani. Trzeci (najbliższy Jastrzębiej Turni) opadający dość długą i stromą granią na Przełęcz Jastrzębią, nosi nazwę Kopiniaka*) (niem. Universitätsspitze, węg. Egyetemi csucs); został on zwiedzony po raz pierwszy 16 lipca 1905 przez J. Serényi'ego, E. Hruby'ego i Gy. Fehér'a.

Ze Szczytu Kołowego schodzimy łatwą granią jednostajnie w dół poprzez wysokie stopnie. Następuje kilka zębów w grani, poczem obchodząc krawędź stromej grani nieco na lewo dostajemy się na wązką przełączkę przed I. turnią. Wyjście na nią (na lewo od grani) stanowi jedyne niezupełnie łatwe miejsce w całe graniówce. Dalej bez użycia rąk na siodło między I. a II. turnią (stąd schodził do Jastrzębiej Dolinki J. Chmielowski z J. Obrochtą 3 paźdź. 1900). Następnie bez najmniejszych trudności poprzez II. turnię na Mały Kołowy, którego to „szczytu" istnienie poznać można jedynie po tyczce i puszce z biletami (1/2 godz.) Stąd poziomą niemal granią i nie bez nieznacznych zresztą trudności, jeśli się poruszamy stale na ostrzu grani — poprzez pierwsze wzniesienie (tu znaleźliśmy kopczyk; czyj?) i drugie na Kopiniak. Z niego dość stromo w dół, w dolnej części opuszczając grań i wchodząc na lewo w trawiastą rynnę — schodzimy łatwo na Jastrzębią Przełęcz (1 godz.)

Z. Klemensiewicz. R. Kordys.

Katastrofa na Małym Jaworowym.

Wypadek, jakiemu ulegli w piątek 5. sierpnia na Małym Jaworowym Szczycie, śp. Stanisław Szulakiewicz i Jan Jarzyna, stał się wskutek fatalnego zbiegu okoliczności — przyczyną jednej z najtragiczniejszych katastrof, jakich widownią były Tatry. Z wyczerpania i zimna ginie na ścianie — samym upadkiem nieznacznie tylko uszkodzony — taternik, mimo wszelkich unicestwionych straszną niepogodą usiłowań ratujących go ekspedycyj. Ta sama niepogoda staje się przyczyną, co dziś stało się już smutną prawdą, śmierci najznakomitszego i najzasłużeńszego z przewodników tatrzańskich, Klimka Bachledy.

W piątek (5|VIII), po noclegu w Dolinie Jaworowej, wyruszyli Szulakiewicz i Jarzyna z zamiarem pierwszego przejścia północnej ściany Małego Jaworowego Szczytu (2386 m.)**). Ściana ta przeszło 300 m. wysoka, w dolnych częściach dość rozczłonkowana, w górnych gładka, pionowa i niedostępna. Po pokonaniu bardzo znacznych trudności u wejścia, natrafiono w środkowych częściach na teren nieco łatwiejszy, wyżej zaż trudności zwiększyły się znowu. Od połowy ściany szedł pierwszy Jarzyna; obaj związani byli 20 metrową liną, o 13 mm. grubości. Jarzyna wspinał się ścianą, w odległości ok. 120 m poniżej wierzchołka, asekurowany przez Szulakiewicza. Był już ok. 15 m. powyżej towarzysza, gdy nagle odpadł od skały z powodu kurczu w ręce, pociągając za sobą Szulakiewicza. Wysokość upadku Jarzyny wynosiła ok. 50 m., Szulakie-

*) O nazwie tej dowiedzieliśmy się od dra St. Eljasza Radzikowskiego.

**) Z Małego Jaworowego Szczytu schodzili wprawdzie do Doliny Jaworowej Dr. Martin i Gy. Komarnicki 30. sierpnia 1908 (patrz Taternik II. str. 92); nie było to jednak przejście północnej ściany, lecz tylko grząd ograniczających ścianę od wschodu.

wicza zaledwie 20 m. Wskutek zaczepienia się liny o głaz zatrzymali się oba na ścianie, przyczem Jarzyna doznał lekkiego potłuczenia, a Szulakiewicz cięższego, tak, że nawet po dwugodzinnym odpoczynku nie był wstanie schodzić. Jarzyna ułożył towarzysza na kilkumetrowej płasieńce, uwiązał go do skały, zszedł wśród wielkich trudności do Morskiego Oka i zatelefonował o pomoc o 10 wieczór.

O 12 g. w nocy ruszyła wyprawa Pogotowia ratunkowego i kilku turystów. Nad ranem w sobotę dotarli oni pod krytyczną ścianę, gdzie zastali Jarzynę w towarzystwie dwóch turystów i trzech przewodników, przybyłych z nim z Morskiego Oka. Po otrzymaniu od Jarzyny informacyi o miejscu, w którem pozostał Szulakiewicz ruszyła wyprawa Pogotowia, do której składu należał Klimek Bachleda, w skały. Pracę akcyi ratunkowej utrudniała mgła, deszcz i grad. Po kilku próbach wdarły się dwie partye dość wysoko w skały, lecz Szulakiewicz nie dawał żadnych odpowiedzi na sygnały, a z powodu mgły nie można go było wypatrzyć. Z powodu spóźnionej pory postanowiono odwrót i wtedy to Klimek Bachleda odłączył się od swojej partyi mimo wzywań p. Zaruskiego, naczelnika Pogotowia ratunkowego i poszedł dalej w górę, twierdząc, że przejdzie na drugą stronę.

Z powodu sobotniego zmęczenia niedzielne poszukiwania zaczęły się dopiero popołudniu, lecz bezskutecznie. W poniedziałek rano o godzinie 6 weszła ekspedycya Pogotowia (4 przewodników i 5 członków) pod wodzą p. Zaruskiego w skały i dotarła o godz. $1^1/_2$ do miejsca, gdzie leżał Szulakiewicz.

Niestety znalazła go nieżywego. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie skutkiem zamarznięcia we śnie mniej więcej na dwie doby przed znalezieniem.

Po god. 2. rozpoczęło się znoszenie ciała, połączone z nadzwyczajnemi trudnościami. Zbliżająca się noc zmusiła ekspedycyę do pozostawienia zwłok na niższym upłazie, lecz mimo tego nie udało się już zejść ze skał 5 uczestnikom, pozostali więc na noc w skałach. Z powodu zupełnego wyczerpania sił musiano poświęcić następny dzień tj. wtorek na odpoczynek. W środę rano wyruszyły z Jaworzyny, gdzie Pogotowie ratunkowe nocowało, dwie wyprawy: Jedna po zwłoki śp. Szulakiewicza, druga na poszukiwanie Klimka Bachledy. Z powodu niepogody poszukiwania nie odniosły rezultatu, wyczerpani z sił uczestnicy wypraw powrócili w czwartek wieczorem do Zakopanego. W dniu, w którym piszemy (piątek) wyruszyła nowa ekspedycya Pogotowia na szukanie Klimka.

*
* *

W ofierze katastrofy,

śp. Stanisławie Szulakiewiczu

utraciliśmy drogiego towarzysza, pełnego przywiązania członka Sekcyi turystycznej, gorącego taternika i czciciela gór. Pamięci Jego poświęcimy obszerniejsze wspomnienie w najbliższym numerze.

*
* *

W sobotę (13/VIII) znaleziono zwłoki Klimka Bachledy na ścianie Małego Jaworowego, w żlebie ograniczającym tę ścianę od zachodu, 50 m. powyżej śniegów. Przyczyną śmierci był upadek z wysokości ok. 200 m. Miejsce odpadnięcia od skały znajduje się, według wszelkiego prawdopodobieństwa na półeczce trawiastej pod przewieszoną ścianą, w odległości kilkudziesięciu kroków od miejsca gdzie Klimka ostatni raz widziano. Klimek zginął przeto prawdopodobnie w sobotę 6. sierpnia, między 2 a 3 godz. po poł., w czasie, gdy inni uczestnicy wyprawy ratunkowej znajdowali się jeszcze na scianie.

*
* *

Śp. Klemens Bachleda

zginął bohaterską śmiercią w poszukiwaniu zaginionego taternika. Zgon jego — to strata najidealniejszego z przewodników, najszlachetniejszego człowieka niezmordowanego odkrywcy Tatr któremu nowoczesne taternictwo niezmiernie wiele zawdzięcza.

Życiorys Klimka ogłosimy w najbliższym numerze Taternika.

Sprawy Sekcyi.

Sprawozdanie Zarządu Sekcyi Turystycznej T. T. za czas od 1 stycznia do 1. lipca 1910.

Wysiłki Zarządu zwrócone były w tym roku przedewszystkiem ku wydaniu taternickich pism św. p. Karłowicza, które mimo technicznych i finansowych trudności, ukazały się z początkiem lipca b. r. Książka ta zajmuje nietylko pierwsze miejsce wśród taternickich publikacyi, lecz należy też do najwytworniejszych wydawnictw, jakie się wogóle u nas pojawiają. Zdobi ją obok portretu Zmarłego 24 ilustracyi (18 autotypii i 6 fototypii), wybranych ze zbiorów prześlicznych zdjęć fotograficznych św. p. Karłowicza. Czysty dochód przeznaczony jest na fundusz budowy schroniska im. Karłowicza.

Zarząd nawiązał stosunki z zagranicznemi towarzystwami alpejskiemi (angielskiemi, francuskiemi, niemieckiemi, włoskiemi i węgierskiemi) i wymienia z niemi publikacye.

Przystąpiono do Tatrz. O. Pogotowia Ratunkowego w charakterze członka wspierającego.

Członkowie, którzy mimo wezwań zalegali z wkładkami, zostali wykreśleni w myśl § 10 statutu Sekcyi.

Nowych członków przyjęto 3.

Posiedzeń Zarządu, na których obok wymienionych spraw, załatwiono szereg kwestyi administracyjnych i finansowych odbyło się 7.

I. Król
Sekr.

Dr. Z. Klemensiewicz
Przewodniczący

Zarząd Sekcyi przyjął na członka p. Kazimierza Piotrowskiego.

Z sezonu.

Ruch turystyczny był w lipcu nieco słabszy niż zwykle, głównie dla wyjątkowo niepomyślnej pogody. O nowych przejściach otrzymaliśmy następujące wiadomości:

13. VII. wychodzą W. Kulczyński i M. Świerz na Zmarzłą Przełęcz z Pustej Dolinki (I wyjście do góry).

23. VII. wychodzą H. Bednarski, J. Lesicki, L. Loria i S. Zdyb na Zamarłą Turnię południową ścianą.

23. VII. wychodzą J. Bizoń, J. Jarzyna, St. Menda i St. Szulakiewicz na Sławkowski Szczyt pn. wsch. ścianą.

26. VII. przechodzą R. Komarnicki, R. Kordys i J. Maślanka zachodnią grań Czeskiego Szczytu (od Smoczej Przełączki).

29. VII. Ci sami: I całkowite przejście pn. zach. grani Hrubego.

29. VII. schodzą H. Bednarski, J. Lesicki i P. Kitaj z Granatu Przedniego do Buczynowej Dolinki.

2. VIII. wychodzą R. Kordys i J. Maślanka na Małą Kończystę z Doliny Batyżowieckiej (I. wyjście?).

5. VIII. przechodzą Gy. i R. Komarniccy i J. Roguska pn. ścianę Środkowego Mięguszowieckiego Szczytu.

R. Komarnicki, F. Kienast i W. Wanjura przechodzą Szarpane Turnie od południowego wschodu na północny zachód, znajdując nową drogę na Małą Szarpaną Turnię od pd.-wschodu.

Notatki.

Wiec członków Towarzystwa Tatrzańskiego odbył się w niedzielę 31. lipca przy dość słabym wpółudziale publiczności. Główna część obrad poświęcona była wnioskowi Dra Danielaka tyczącym się wrogiego stanowiska, jakie ministerstwo kolei zajęło w sprawie zniżek turystycznych i ulepszenia połączeń kolejowych z Zakopanego. W tej sprawie uchwalono zwołać wiec gości przy współudziale czynników zainteresowanych. Debatowano również nad środkami, któreby powstrzymały niekulturalnych turystów, jakich u nas niestety nazbyt wiele, od niszczenia schronisk i innych udogodnień, tudzież zaśmiecania gór. Sprawa reorganizacyi towarzystwa nie była niestety poruszana.

Nasza ilustracya. W widoku, jaki się roztacza z grani Baranich Rogów, nieopodal wierzchołka — wybija się przedewszystkiem potężny Szczyt Durny (na obrazku najwyższy). Grań ciągnąca się od Durnego ku nam oddziela doliny: Dziką (na lewo) i Pięciu Stawów Spiskich (na prawo). W grani tej wznosi się szereg szczytów i turni, z których najważniejsze — Mały Durny Szczyt (na lewo od Durnego) i Spiska Grzęda (najbliższa na zdjęciu), której wierzchołek znajduje się w odległości 56 mm od prawego brzegu. Przełęcz między tą ostatnią a Baranimi Rogami (najniższe jej zagłębienie na zdjęciu niewidoczne) zwie się Przełęczą Baranią. Durny opada na prawo granią południowo-zachodnią (jej I. przejście opisane w Tatern. nr. 1 z br. str. 13). Na lewo — w głębi — Szczyt Kiezmarski (przy lewym brzegu); na prawo od niego wychyla się turnia Wschodniego Szczytu Wideł i Wielki Szczyt Wideł.

Sprostowanie. W objaśnieniu do ilustracyi na str. 49 (w 3 nrze z br.) Taternika ma być: „Turnia nad Drągiem“ (nie „Szczyt nad Drągiem“), po niem. „Eisseeturm“ (nie „Eisseespitze“).

Z piśmiennictwa.

IV. Sprawozdanie roczne Akad. Klubu Turystycznego we Lwowie za rok 1909. Obszerne o 51 stronach starannie i umiejętnie zredagowane sprawozdanie dowodzi ciągłego rozwoju tego sympatycznego i dobrze prowadzonego klubu, propagującego na szeroką skalę popularną, bądź też w usługach krajoznawstwa będącą turystykę. Lwią część sprawozdania zajmuje „Kronika turystyczna“ zawierająca pogląd na turystyczną działalność klubu i jego członków i zestawienie wycieczek. Część V. tego działu, zatytułowana „Wycieczki tatrzańskie“ i VI. — „Wycieczki prywatne członków klubu“ — stanowi historycznie bardzo interesujący materyał podobnie jak kroniki w czasopiśmie „Zakopane“. Znajdujemy tu między innemi ciekawą wzmiankę o przejściu granią od Szpary aż po Hruby, podkreślającą znaczne trudności północno-wschodniej grani Ostrej i wschodniej grani Hrubego. Nowem w tej wycieczce było zejście z trzeciej przełączki za t. zw. Turnią Wahlenberga (w grani Ostrej) do Doliny Furkotnej (A. Konopczyński). Z wycieczek pozatrzańskich zaciekawić mogą taternika wiadomości o zwiedzeniu całego szeregu turni w Ojcowie (pierwsze wyjścia) przez A. Konopczyńskiego i o samotnej wycieczce A. Ojrzyńskiego (członka Sekcyi) na najwyższy szczyt Skandynawii, Galdköpig (2561 m). — W programie wycieczek na wakacye roku bież. zwraca uwagę zapowiedź wycieczki na Mont Blanc i Monte Rosa (prowadzi Dr. T. Ostrowski) i na Kaukaz z wyjściem na Elbrus (prowadzi A. Ojrzyński). Udział w obu tych wycieczkach zastrzeżony jest wyłącznie dla wprawnych turystów. *—rk.*

A Magyar si klub évkönyve 1909. Rocznik węgierskiego klubu narciarzy za II. rok spraw. Rocznik niniejszy, redagowany przez dra R. Schwickera i dra J. Serényi'ego zawiera oprócz sprawozdania zarządu i stałych r bryk — dra Schwicker'a skreślenie wycieczek narciarskich w Małej Fatrze, poprzedzony dokładnym opisem okolicy. Dr. Z. Klemensiewicz pisze o „Wycieczkach narciarskich w pn.-wschodnich Karpatach“. Rocznik zdobi kilka ładnych zdjęć zimowych. — Ze sprawozdania dowiadujemy się o wybudowaniu przez klub schroniska w Fatrze, które udostępnia znakomity teren narciarski tamtych okolic. *Σ.*

Dr. Ernst Schottelius. Der Schisport. Miniatur-Bibliothek für Sport und Spiel. B. 15 Krótki podręcznik przeznaczony dla początkujących i jako taki spełniający swe zadanie niegorzej od innych. W rzeczach techniki zajmuje autor stanowisko szkoły południowo-niemieckiej a więc czysto norweskie, nieco tylko w szczegółach przystowane do warunków wysokogórskich. E.

Z „Drukarni Udziałowej“, Lwów, Kopernika 20.